

Balik, Zenon

W syberyjskich tajgach żyć...

Przegląd Pruszkowski nr 1, 59-78

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

włożyć do wrzątku. Po ugotowaniu były lekko słodkie, ale to nie żadna przeszkoda, ważne, że można było coś zjeść.

Jeszcze przez kilka miesięcy żyliśmy nadzieją wyjazdu na południe, a może nawet z wojskiem do Iranu... Chyba jednak dobrze stało się że zostaliśmy na miejscu. Na południu choroby dziesiątkowały naszych biednych rodaków. Leków często nie wystarczało nawet dla wojska. Nasi chłopcy ruszyli dalej. Dotarli do wojska gen. Andersa, potem razem z nim dostali się do Iranu. Walczyli później w Afryce, pod Monte Cassino, a po zakończeniu wojny rozjechali się po świecie. Z jednym z nich, moim szkolnym kolegą, Wacławem Fiedlerem, mieszkającym obecnie w Londynie, koresponduję do dnia dzisiejszego.

My zmienialiśmy jeszcze kilkakrotnie miejsce zamieszkania, szukając lepszych warunków do życia. W Kustanaju spotkała nas wielka przykrość, bo władze z powodu braku zameldowania, nakazały natychmiastowe opuszczenie miasta, a tam właśnie było nam najlepiej. Mimo wielu starań od samego przyjazdu nie udało się nam zameldować. W czasie tych wędrówek ciężko chorowałyśmy.

Wędrówka nasza skończyła się w Kustanaju w mieście wojewódzkim, z którego nas usunięto. Po wyswobodzeniu Ukrainy przez wojska radzieckie wielu Polaków przesiedlono na tamte tereny. Teraz nareszcie mogliśmy się zameldować. Wśród mieszkających tam rodaków nasze samopoczucie poprawiło się. Poza tym Delegatura Zw. Patriotów Polskich opiekowała się nami, przydzielając nam z tak zw. darów przysyłanych z Ameryki i Anglii żywność i odzież. Bardzo nas to ratowało, bo rzeczy do wymiany już się skończyły, a i nasza odzież nie nadawała się do noszenia. Siostra w Kustanaju ukończyła krótki kurs księgowości i pracowała w spółdzielni obuwniczej na stanowisku księgowej, a ja z Mamusią zarabiałymy robotami na drutach. Wiązałyśmy koniec z końcem, bo ceny w sklepach były coraz wyższe.

Nareszcie nadszedł wymarzony, szczęśliwy dzień! 4 maja 1946 roku załadowaliśmy nasze bagaże do wagonów towarowych. Wieczorem na dworcu odbył się jeszcze pożegnalny "mitting", a nad ranem 5 maja 1946 roku poczułam, że pociąg powolutku ruszył w upragnioną i wyczekiwaną od sześciu lat drogę powrotną do Polski!!!

Inaczej wyobrażałam sobie uczucie, jakiego doznam w momencie przekraczania granicy polskiej. Wielką radość odczułam, gdy pociąg wjechał na nasze dawne, wschodnie tereny. Minęliśmy Baranowicze i inne, znane nam stacje, zdałyśmy sobie sprawę, że to już nie nasze, to też gdy przejechaliśmy obecną granicę, radość była dużo mniejsza niż ta, której spodziewałam się doznać wyjeżdżając z Kazachstanu.

W syberyjskich tajgach żyć ...^{x/}

*Dziesiąty luty będziem pamiętali.
Przyszli sowieci, myśmy jeszcze spali,
I nasze dzieci na sanie włożyli.
Na główną stację wszystkich wywozili.*

Jest to początek pieśni napisanej przez nieznanego poetę lub poetkę ludową zesłanych na Sybir. Pieśń ta rozbrzmiewała pośród wielotysięcznej grupy Polaków zgrupowanych w naszym obozie nad rzeką Czuną w Obwodzie Irkuckim, w osadzie Jurokta i Palenczet, na lewym brzegu Czuny. Osady te były oddalone od siebie około 12 kilometrów.

W pamiętniku chcę opisać bieg wydarzeń widzianych okiem dziesięcioletniego dziecka. Przeżywszy w Polsce czterdzieści lat, opisanych tu faktów, nie spotkałem w publikacjach. Wszyscy Polacy odczuwali, jak sądzę, tę wielką lukę w historii, której całkowicie nigdy już zapełnić się nie da. Chciałbym więc wrzucić do niej małą bryłkę, która nie zawiera fantazji ani upiększeń. Ale ta bryłka - czasem gorzka, czasem słodka - jest autentyczna. Nie jestem biegły w historii, więc nie będę ubierał faktów w szaty przyczynowe, tylko podam je jako fakty widziane przeze mnie oczami dziecka z bliska i tylko te, które zapamiętałem. W swoim pamiętniku chciałbym opisać przebieg deportacji na Sybir. Jaki los spotkał Polaków, ludzi z bliskiego mojego otoczenia skazanych na sześćioletni pobyt na Syberii. Chciałbym przedstawić życie Polaków i na tle życia sybiraków, jego złe i dobre strony. Jakie mieliśmy przeżycia w związku z przebiegiem drugiej wojny światowej. Jak wstępowano do Armii Andersa i Pierwszej Dywizji Tadeusza Kościuszki. Następnie chciałbym opisać nastroje w czasie zbliżania się końca wojny, nadzieje na powrót do ukochanego kraju, do Polski, niezależnie jaki ustrój tam zastaniemy. Wracaliśmy do Polski, jako umiłowanej Ojczyzny, Ziemi Rodzinnej.

Chciałbym też opisać trochę wydarzeń z moich lat dziecinnych. Urodziłem się w latach trzydziestych pod Krakowem. Mieszkałem wraz z rodziną na wsi Widoma powiatu miechowskiego. Z pierwszych pięciu lat życia pamiętam niewiele. Pamięć moja zarejestrowała fakty dopiero od ósмого roku życia.

^{x/} Z "II Pieśni syberyjskiej", autorka: Anna K.

Chronologiczny bieg wydarzeń chcę zapisać dla siebie i dla swoich potomnych, bo zaczynam zapominać nazwy, nazwiska i wydarzenia. Brakuje mi wspomnień moich rodziców. Po ich śmierci uprzytomniłem sobie, że wszystkiego, co było wśród moich przodków, a czego nie dowiedziałem się wcześniej, już teraz nie mogę odtworzyć. Niech więc moje dzieci wiedzą choć to o swoich rodzicach i dziadkach co zachowałem w pamięci.

Przed świtem

Było ciemno i jeszcze spaliśmy. Obudził nas rumor i walenie do drzwi oraz krzyki.

- *Odkrywaj!*

Ojciec pośpiesznie ubrał się i otworzył drzwi. W blasku lampy naftowej ujrzeliśmy grupę Ukraińców i kilku sowieckich żołnierzy wdzierających się do naszej małej izby. Padł okrzyk:

- *Ruki w wierch!*

Ukraińcy /było ich z sześciu/ trzymali w rękach dębczaki grubości od czterech do pięciu centymetrów zakończone głowniami z odciętymi korzeniami (świadczącymi, że były świeżo wykarczowane w lesie) lub inne kije gładkie, jakby bijaki zdjęte z cepów ręcznych. Dwóch "sołdatów" miało karabiny z charakterystycznymi długimi "szytkami", w jakie była uzbrojona Armia Sowiecka. Żołnierze mieli na głowach czapki bolszewickie ze szpicami na czubku i klapami spadającymi na uszy. Wszyscy byli milczący, tylko oficer mundurowy z pistoletem w ręku pokrzykiwał do ojca:

- *Oddaj rużjo! Gdzie twojo rużjo?!*

Ojciec tłumaczył się, że nie żadnej broni. Rozkazano nam szybko się ubierać. Ojca wyprowadzono z izby do obory, podejrzewając, że tu ukrył broń. Część Ukraińców plądrowała mieszkanie: przewracali pościel, przeglądali kufry, szafę, drewno koło pieca i zaglądając gdzie się dało. Byliśmy przerażeni. W domu powstała wielka wrzawa. Zbudzono nagle ze snu pięcioro mojego rodzeństwa i matkę. Trzyletni Roman i pięcioletni Michał wrzeszczeli przeraźliwie. Matka - popłakując - w pośpiechu ubierała się sama i pomagała młodszemu dzieciom. Siedmioletnia Krysia i jedenaścioletnia Todzia oraz ja, dziesięcioletni chłopiec, radziliśmy sobie sami. Rozgardiasz był wielki, gdyż nigdy jeszcze nie ubierało się jednocześnie w małej glinianej izbie, przy jednej zakopconej lampie naftowej tyle osób.

W mieszkaniu został jeden "sołdat" i jeden Ukrainiec, Wasyl. Inni plądrowali obejście. Z zewnątrz dolatywały odgłosy komend w języku rosyjskim. Po chwili w asyście dwóch "pałkowych" Ukraińców do mieszkania wszedł ojciec. Kazali mu pakować niezbędne rzeczy. W domu nie było nic cennego. Przedmioty domowego użytku. Rzeczą najbardziej atrakcyjną był zegarek budzik z jednym dużym dzwonem. Tylko on zdawał się nie zwracać uwagi na to, co

zaszło. Całe zajście nie zrobiło na nim żadnego wrażenia, tykał sobie jak gdyby nigdy nic, pokazując godzinę szóstą z minutami. Wziął go do ręki Wasyl i rzekł do ojca, że ten zegarek to on zabiera, bo ojciec za mało mu zapłacił za pracę przy wyrabianiu glinianych bloków na budowę nowego domu. Mówił, że jak pracował, to nie mógł się upomnieć o większą zapłatę, więc teraz zabiera ten zegarek. Ojciec podszedł do niego i bez słowa błyskawicznie uderzył Wasyla w twarz. Wasyl się zachwiał. Jeden Ukrainiec z obstawy natychmiast zdzielił ojca po plecach trzymanym w rękę kijem. Drugi pośpieszył mu z pomocą. Powstało zamieszanie, krzyki rodziców i przybyszów, wrzask i płacz dzieci. W pewnej chwili zgasło światło, na szczęście zapalono je ponownie. Oznajmiono ojcu, że:

- *Tak nie lźja, sudit budut.*

Zaprowadzono porządek, upomniano Wasyla, żeby nie czynił samosądu nad ojcem, bo tego władza sowiecka zabrania. Wasyl usłuchał, ale zegarek zabrał. Nakazano czynić dalsze przygotowania do ewakuacji. Na pytanie, dokąd nas wysiedlają, odpowiadano:

- *Do drugiej dieriewni* -.

W domu była nasza opiekunka, ciotka Kaśka, rodzona siostra ojca, głuchoniema, której trudno było wytłumaczyć na migi co się dzieje. Ona zdziwiona, bełkocząc niezrozumiale, gestami zapytywała o co chodzi?. Wreszcie zrozumiała, że coś niedobrego nas czeka, zaczęła błagać o łaskę, rzucając się do całowania nóg żołnierza i Ukraińca, ale na nic to się nie zdało.

Żołnierz stojący przy drzwiach z karabinem nic nie mówił. Stał nieruchomo z bronią u nogi z kamiennym wyrazem twarzy. Poglądał na sytuację. Co myślał? Niewiedomo. Później ciągle mi się przypominał ten niski żołnierz stojący prawie jak skamieniały. Górowały nad nim dwie piki. Jedna na czapce a druga od karabinu trzymanego przy nodze.

Matka dostała pozwolenie na wydojenie krowy, żeby nakarmić dzieci. Przyniosła skopiec mleka i snopek słomy. Postawiwszy garnek z mlekiem na kuchni, paliła wiechcie ze słomy, podtrzymując je ręką w drzwiczkach murowanej kuchni, żeby szybciej zagrzać mleko. Tę metodę stosowano często w społeczności wiejskiej, do ekspresowego gotowania mleka lub wody na herbatę. Nalała dzieciom mleka do garnuszków porcelanowych. Niektóre z nich miały utracone ucha. Ja i starsze rodzeństwo z przerażenia nie piliśmy tego mleka, czego później gorzko żałowałem.

Nagle usłyszeliśmy dolatujący z sieni głos ciotki Ulki Grochowskiej. Ukraińcy z zewnątrz nie chcieli jej początkowo wpuścić do izby. Wreszcie ją wpuścili. Biedna nie wiedziała, co się dzieje, chciała się z nami pożegnać i pożyczyć bochen chleba, bo jak się okazało również jej rodzinę gdzieś wywożą. Przekonała się, że i nas czeka to samo. Dowiedzieliśmy się więc, że nie tylko nas wywożą. Na tym skraju kolonii były jedynie dwa

domy, to jest nasz i Grochowskich, więc nie wiedzieliśmy co się dzieje dalej. Ciotka mówi płaczącym głosem, że na dworze widziała podwozy sanek w dużej ilości, które rozjeżdżały się po kolonii. Dwie pary sanek zaprzężone w pojedyncze konie stały koło naszego domu. Matka miała tylko dwa bochny chleba, więc jeden dała ciotce Ulce. Kiedy ciotka chciała wyjść z domu, żołnierz zastawił jej drogę karabinem i powiedział:

- *Nielzia! Takoj prikaz!*

Ciotka zaczęła lamentować, że przecież zostawiła małe dzieci, że też muszą się pakować, co oni tam bez niej poczną! Przecież żołnierz i Ukraińcy, co naszli jej dom, pozwolili jej wyjść i powiedzieli, że będzie mogła wrócić, ale to wszystko nie przekonało żołnierza, "nielzia" i koniec. Ojciec wynosił z izby ubrania, których nie było za wiele, pościel i drobny sprzęt domowy. Pozwolono też ojcu zabić kilka kur i nabrać do worka żyta. Pszenicy nie było, bo cała sterta spaliła się po zbiorach.

Koło godziny siódmej usłyszeliśmy parskanie koni. Podjechały sanie służbowe z oficerem, który jak się później okazało, dowodził deportacją kolonii Sinków. Żołnierz zameldował oficerowi o tym, co się stało w domu. Widocznie powiedział, że ojciec uderzył Wasyla, bo oficer groźnie spojrział na ojca. Mówił też, że przyszła jakaś kobieta, która później chciała wyjść z domu. Oficer pośpiesznie wydał rozkazy: ciotce kazał iść do domu i pakować swoje dzieci. Ukraińcom polecił ładować wyniesione rzeczy na sanie. Ojcu kazał wyjść razem z nim. Ogarnęło nas przerażenie. Matka trzymała ojca, wrzeszcząc, że go nie puści.

- Nie zabierajcie mi go! Co ja sama pocznę z tyłoma dziećmi! My, dzieci mogliśmy sobie przy tej scenie jedynie popłakać do woli, bo nic innego nie mogliśmy zrobić. Wyrwano matce ojca z objęcia. Pomyśleliśmy, że to już koniec z ojcem. Sanie transportowe, które po nas podjechały, były typu towarowego, czasem nazywane rozwalniami, bo były niskie i rozłożyste na boki. Takie sanie widziałem w dworskich zaprzęgach transportowych i u bogatych Ukraińców. Na jedno sanie ułożono kilka tłumoków z rzeczami domowego użytku oraz małą balię, wiaderko, cztery zarżnięte kury w worku, trochę naczyń kuchennych, główkę maszyny do szycia marki "Singer". Na drugie sanie narzucono na spód kilka szmat, pierzynę, wokół ułożono poduszki. Nas - dzieci - usadzono na tej pierzynie w krąg, nogami do siebie. Każde było opatulone i podparte poduszką. Ponieważ konstrukcja sanek była w pewnym sensie dołkowata, to każde z nas znajdowało się w pozycji półsiedzącej. Matka siedziała na środku, tyłem do powożącego. U jej boku siedziało dwóch moich najmłodszych braczków. Z jednej strony, bokiem do kierunku jazdy siostrzyczka Kryspina, a z drugiej strony, również bokiem do kierunku jazdy, siostrzyczka Teodozja. Ja natomiast, na moje szczęście, byłem posadzony z tyłu rozwalni, przo-

dem do konia. Nasze nogi były splecione w jednym centralnym miejscu sanek, otulone pierzyną, która przykrywała nas wszystkich do połowy. Każdy był ubrany i zawinięty w różne szmaty lub chusty, bowiem dzień ten był wyjątkowo mroźny: około -20 stopni Celsjusza, ale każdy był jako tako zabezpieczony przed chłodem. Te dwie pierzyny /jedna pod spodem, druga jako przykrycie oraz to, że mieliśmy złączone nogi do kupy, było dla nas wielkim dobrodziejstwem. Dokładnie na środku pierzyny, która leżała na naszych nogach, matka położyła ostatni bochen chleba. Na pewno w duszy żałowała, że nie zdążyła więcej upiec na drogę. Bowiem matka piekła chleb raz na tydzień, albo trochę rzadziej. Ale i tak dobrze, że chociaż jeden został a i ciotka Ulka też jeden dostała. Nasz bochen chleba leżał na pierzynie na wierzchu, a my wszyscy zwróceni do niego jak do ołtarza, mogliśmy się napatrzeć na niego do woli. Nie zmieściła się na nasze sanie ciotka głuchoniema. Opatulona we wszystkie swoje ciuchy i chusty została posadzona na sanie, wiozące pozostałe nasze rzeczy. Nigdzie natomiast nie było widać naszego ojca. Nie wiadomo, co z nim zrobili. Byliśmy wszyscy przygnębieni, już nie naszym losem, lecz tym, co się stało z naszym tatusiem.

Jazda saniami

Sanie ruszyły spod domu do drogi, gdzie również nadjechały sanie z rodziną Grochowskich. Ich było mniej. Wujek Wincenty z ciotką Ulką mieli tylko czworo dzieci. Najstarszy dwunastoletni Boniek, następnie Władek, Edek i nowo narodzona Nela /Aniela/. Byli podobnie zapakowani na dwie pary sań. Wujek Wincenty był jednak z rodziną. Trafili na bardziej taskawą ekipę władzy. Wujek nie zadzierał z Ukraińcami. Grochowscy kilka miesięcy mieszkali w starym Sinkowie, w kwaterze u jednego Ukraińca. Ich dom kolonijny w chwili gdy osiedliśmy w Sinkowie w charakterze kolonistów, zaledwie półtora roku temu, nie miał jeszcze wykończonego dachu. Jedną zimę mieszkali więc na kwaterze.

Ludność ukraińska za czasów Polski Niepodległej była nam na ogół przychylna. Widzieli, że jesteśmy biednymi kolonistami. Nasze przywileje ograniczały się do tego, że mieliśmy prawo nabywać ziemię na dogodnych warunkach od ziemian, natomiast oni nie mogli. W większości byli skazani na pracę we dworze lub wydzierżawiali pola do uprawy od ziemian, za co zbierali dla siebie tylko trzecią część płodów. Zwarzywszy na to, że tutejsze ziemie były bardzo urodzajne, to rodzinie ukraińskiej dzierżawiającej jeden hektar kukurydzy, trzecia część zbiorów mogła pokryć ich zapotrzebowanie na to zboże.

Wujek Wincenty był bardziej zżyty z miejscowymi Ukraińcami. W tej tragicznej chwili, która teraz nas "panów" Polaków spotkała, pozwolili mu,

bądź uprosił oficera, który teraz był dla nas panem i Bogiem, żeby pozwolił mu zabrać ze sobą więcej żywności. Przez to wujek miał w worku nie cztery a dwadzieścia zarzniętych kur i dwa worki pszenicy.

Dojechała jeszcze rodzina Gruli z siedmiorgiem dzieci, na trzech saniach, ze starego Sinkowa. Oni ciągle jeszcze nie mieli swego domu i mieszkali w kwaterze wynajmowanej. Siedmioro sań jechało teraz drogą do traktu głównego, przy którym skupiała się główna część kolonii Sinków. Teraz się okazało, że przed każdym domem stały już zapakowane ludźmi podobne sanie. Byli tam nasi ziomkowie spod Krakowa - Calikowie z czworgiem dzieci: najstarszym dwunastoletnim Zdzisławem, dziesięcioletnim Czesławem, ośmioletnią Ireną i jeszcze młodszą Danutą; następnie Tarkowie Piotr i Zofia z dwójkiem dzieci: sześciolatnim Tadeuszem i młodszą Janką oraz nasz stryj Andrzej, ze stryjenką Bronisławą i dwójkiem dzieci: siedmioletnią Stanisławą i pięcioletnią Kazimierą. Było tam jeszcze wielu innych kolonistów, których nazwisk nie pamiętam z wyjątkiem państwa Karwadzkich rodziców dwóch chłopców: jednego w moim wieku i jednego starszego. Chłopcy ci świetnie jeździli na wierzchowcach, czego im zawsze zazdrościłem. Mój ojciec nie miał takich koni. Jeden z naszych dwóch koni gniady był leniwy, a drugi kary był na pół ślepy, miał gęste bielmo na jednym oku, przez drugie trochę widział. Dosiadałem tego ślepego, żeby go kierować lejcami, a gniady bywał przywiązany obok na postronku. Właśnie w taki sposób jeździłem na nich do wodopoju.

Jednego razu, siedząc na karym, dojeżdżałem do wodopoju, kiedy kary, poczuwszy wodę, zaczął biec do koryta, gniady również zaczął biec, ale był szybszy i zdążając po najkrótszej drodze na sam skraj koryta, zepchnął karego na studnię zabezpieczoną tylko niską krawędzią. Kary potknął się o krawędź studni, podskoczył i wpadł czterema nogami do studni tak, że został zaparty piersią i zadem o krawędzie studni. Ja zaś bez żadnego szwanku siedziałem wciąż na jego grzbiecie, mocno trzymając się grzywy. Kary machał nogami zawieszonymi w studni, mącąc kopytami lustro wody, ale nie mógł się ruszyć z miejsca. Zeskoczyłem z konia głośno płacząc. Na mój płacz zbiegło się sporo Ukraińców, którzy pracowali w sąsiedztwie na dworskich polach. Podłożyli karemu pod brzuch dwie skręcone derki i ciągnąc za ich końce wyciągnęli karego ze studni. Koń był zdenerwowany i pokaleczony, drżał ze strachu i długo nie mógł się zdobyć na picie upragnionej wody.

Jechaliśmy dalej. Sani ciągle przybywało. Tworzył się wielki pochód. Wszystko to trwało kilka godzin. Była to operacja gigantyczna, bo przecież nie o jedną wieś czy kolonię tu chodziło. Akcja przygotowana była w wielkiej tajemnicy. Trzeba posiadać władzę doskonałą, żeby coś takiego było możliwe do wykonania. W żadnym innym państwie podobna akcja

byłaby niemożliwa. Wszyscy byli zaskoczeni; o jednej porze dnia, w środku mroźnej zimy, raniutko, kiedy prawie wszyscy spali, za pomocą prymitywnego transportu, spacyfikowano tyłu ludzi, przelano tak wiele łoż. Jak okiem sięgnąć, za nami i przed nami, ciągnęła się kawalkada zaprzęgów konnych, podwozy zmobilizowane przez NKWD przy pomocy zaufanej ludności ukraińskiej, zapewne w ostatniej chwili, późnym wieczorem dnia poprzedniego albo w nocy. Nikt nie wiedział po co i dlaczego wykonywał rozkazy. Myśleliśmy, że nas wyrzucą za linie Curzona, do Polski centralnej, według zasady wracaj skąd przyszedłeś.

Wcześniej dochodziły nas słuchy, że na granicy stref okupacyjnych, już od września gromadziły się tłumy ludzi, chcących się przedostać w jedną lub w drugą stronę.

Na drodze było wielkie zamieszanie. W trakcie mijanek i wyprzedzeń rozpoznawali się sąsiedzi i rodziny. Inni nawoływali, prosząc eskortę, żeby ich dołączyć do innego zgrupowania, ale prośby te nie były z reguły spełniane. Wszystkie postacie na saniach wyglądały jednakowo; opatulone, zziębnięte i splakane. Dochodziły odgłosy różnych pieśni religijnych. W naszym zgrupowaniu śpiewano: "Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas, Matko Częstochowska, nie opuszczaj nas". Z jednego końca słychać było "Pod twoją obronę, uciekamy się Święta Boża Rodzicielko", z innego "Boże coś Polskę".

Posuwaliśmy się w kierunku Czortkowa. Z niektórych zagród wiejskich wychodziły splakane kobiety, klękały obok przejeżdżających i żegnały się trzykrotnym znakiem krzyża. Na polach wzdłuż drogi wytyczono równoległy szlak, żeby umożliwić wyprzedzanie się i wymijanie się pojazdów. Po nich śmigwały lekkie zaprzęgi władz wojskowych lub konnej eskorty. W pewnym momencie ujrzeliśmy mknące sanie osobowe lekkie, eleganckie, z wysokim przednim parawanem, spełniającym rolę błotników, zatrzymujących śnieg wyrzucany przez kopyta dwóch siwych spoconych koni. Na tylnym siedzeniu siedziało dwóch oficerów, a w środku jeden cywil w wielkiej futrzanej czapce. Na przednim siedzeniu woźnica w kozuchu i szarżonionej czapce, trzymający w lewej ręce napięte lejce a w prawej piękny bat z długim czcinowym biczyskiem. U czubka biczyska bat był ustrojony pomponami z czerwonej wełny. Na przednim siedzeniu, twarzą do siedzących z tyłu, siedział jeszcze jeden człowiek ubrany w szare palto a na głowie miał barankową czapkę wciśniętą na uszy. Miał oszronione brwi i wąsy. Był skulony i zziębnięty, rozglądał się wśród wyprzedzanych. Poznałem go, to był nasz ojciec. Krzyknąłem:

- Tatuś! - pokazując go ręką.

Wszystkie twarze z naszych sań zwróciły się w tą stronę, jak za pościągnięciem sznurka. Wszyscy ruszyli się z miejsca. Uniosła się pierzyna i zachwiały się bochen chleba, leżący na pierzynie, ale nie spadł.

- Tatusiu! - krzyknęły moje siostry i zajęczała jakby z bólu nasza matka.
- Niech was Pan Bóg strzeże! - zawołał ojciec z pędzących snów. Po chwili te cudowne sianie znikły nam z pola widzenia. Ucieszyliśmy się, że nasz ojciec jest żywy i cały, ale dalej nie było wiadomo co z nim zrobią.

POLSKĄ KOLEJĄ

Dzień chylił się ku końcowi, kiedy dojechaliśmy do stacji kolejowej. Nie pamiętam czy to był Barszczów czy Czortków. Większą część masy ludzkiej na saniach zgrupowano na polu przy stacji kolejowej. Z daleka wyglądało to na wielkie targowisko. Wszędzie panował ruch. Rozbrzmiewały krzyki i nawaływanie administratorów eskorty, jak i ofiar tej akcji. Słyszało się głosy w trzech językach: polskim, ruskim i ukraińskim. Kolejno kierowano sanie w kierunku torów kolejowych, na których stało kilka składów pociągów towarowych. Wszystkie wagony były kryte, dwuosiove i miały wystające kominki z rur stalowych. Okna i drzwi były zamknięte. Podwożono deportowanych do wagonów, których drzwi z jednej strony były otwarte i ładowano ich z kolejno podejżdżających sanek, odliczając średnio po sześćdziesiąt osób na jeden wagon. Nasza grupa znajomych z kolonii Sinków trzymała się razem. Nie było to wynikiem naszych starań, ale postanowieniem chłopów ukraińskich, którzy byli wynajęci z jednej wsi do przewiezienia deportowanych i oni postanowili trzymać się razem, aby się nie pogubić w drodze powrotnej do domu. Do tego wagonu co i my trafiły rodziny państwa Calików, Piotra i Zofii Tarków, Gruli, Grochowskich i innych, których początkowo nie znaleźliśmy. Kiedy zamykano i ryglowano nasz wagon zrobiło się ciasno. W wagonie znalazły się sześćdziesiąt cztery osoby. Po ciemku ludzie wpychali się na prycze piętrowo zbudowane po obu końcach wagonu. Pod prycze ładowano różny drobny sprzęt zabrany z domu, pierzyny i ludzie - na prycze. Ktoś zaświecił lampę naftową i przywiązał ją do rury od piecyka żelaznego, ustawionego na środku wagonu. Przy piecyku przygotowano skrzynkę z węglem. Zaraz ktoś rozpałił ogień. W blasku światła lampy naftowej i płomienia z piecyka lokowaliśmy się w wielkiej ciżbie na pryczach. Powstała awantura, gdyż każdy chciał zająć tyle miejsca, żeby starczyło na ułożenie się całej rodziny jeden przy drugim, a tu miejsca nie było na tyle. Na powierzchnię około pięciu metrów kwadratowych przypadało szesnaście osób. Najważniejsze, żeby ułożyć małe dzieci i chorych. Chłopców w moim wieku nie brano w ogóle pod uwagę. Czuliśmy się siłą rzeczy jak dorośli, zresztą nie krzywdowaliśmy siebie. Do spania wcisnęliśmy się gdzieś w nogi młodszego rodzeństwa. Na razie zbici w kupkę przy jednej ze ścian, chyłkiem na pryczy wyszukiwaliśmy szpar między deskami wagonu, żeby zobaczyć co się dzieje na zewnątrz. Dorośli wszczykali modlitwy i pieśni religijne.

Było nam przykro, że nie mamy swego ojca przy sobie. Inni ojcowie pomagali matkom upychać swoje rzeczy. Na razie wszyscy byli zmarznięci bo w wagonie jeszcze się nie nagrzało, ale po rozgrzaniu się piecyka i od wyziewów ludzkich zrobiło się gorąco i duszno. Nagle stuknęła rygiel u drzwi wagonu, drzwi się rozsunęły na około pół metra. Wszyscy zamilkli. W szczelinie odsuniętych drzwi wagonu pokazała się sylwetka mężczyzny i kilka rąk, które go wpychały do naszego wagonu. To był nasz ojciec! Radość wstąpiła w nasze serca, a i ojciec na chwilę poczuł się szczęśliwy. Organizacja nie zawiodła. Wiedzano, w którym wagonie jesteśmy i tu wepchnięto nam ojca. Wiadomo, że dla wszystkich lepiej jest razem chociaż taka sama krzywda dana jest każdemu z osobna. Z zewnątrz dochodziły nas odgłosy huczących parowozów i stukot przetaczanych wagonów po innych torach. Nasz pociąg stał nieruchomo w jednym miejscu. Zmęczony całodzienną udręką, przytulony do pierzyny, którą przykryte było młodsze rodzeństwo na dolnej pryczy, zasnąłem. Obudziłem się od potwornego rumoru i wstrząsu. Dołączono bowiem do naszego składu pociągu lokomotywę, która swą potężną masą trzasnęła w pierwszy wagon, ten z kolei uderzył w następny z takim samym impetem i tak kolejno zderzaki wagonów przekazały uderzenie następnym z taką samą siłą, jaką otrzymały tak, że i ostatniemu /a było ich 54/ dostało się tak samo. W wagonie przewróciły się niektóre przedmioty, spadły na podłogę mniejsze skrzynki i walizki postawione na innych kufrach. Zabrzęczały garnki i miednice, upadli słabsi, którzy w tym czasie stali, zahuczało palenisko rozpalonego do czerwoności żelaznego piecyka. To był pierwszy wstrząs, jaki zgotowała nam ta piekielna maszyna. Dalej szarpała to w jedną to w drugą stronę, jak gdyby chciała lepiej nas usadować na tych pryczach, albo przypomnieć nam, że nie jesteśmy zapomnieni, a może maszynista chciał nam powiedzieć:

- Wot wy ... wasu mat' polskije pany! Dierzytieś kriepcze!

Nad ranem nasz pociąg ruszył w nieznanym kierunku. Stłoczeni w szczelnie zamkniętych wagonach, zupełnie byliśmy zdezorientowani, gdzie jesteśmy. Pociąg jechał jakiś czas, ale więcej stał na jakichś stacjach. Raz jazda była w jednym, to w drugim kierunku, co dla komunikacji kolejowej jest rzeczą normalną. Tymczasem u podróżnych powstawały problemy: pragnienie, głód oraz konieczność załatwiania potrzeb fizjologicznych. Niestety, na zaspokojenie pragnienia nie było niejakej rady. Przypadkowe zapasy wody czy mleka szybko się skończyły. Organizatorzy tej wycieczki pomyśleli natomiast o potrzebach fizjologicznych. Przy końcu jednych drzwi, przy pryczy, w podłodze, przy ścianie bocznej wagonu, była wycięta okrągła dziura, o średnicy średniego talerza. Dziura była wzmocniona stalowym płaskim pierścieniem. Małe dzieci załatwiały

tu swe potrzeby bez nijakiego problemu. Gorzej wyglądała ta sprawa u dorosłej młodzieży i osób starszych. Było w naszym wagonie kilka rodzin, gdzie były dorosłe panny i kawalerowie. Aby się choć trochę ukryć zawieszono czyjaś pluszową narzutę. Nawet po tym usprawnieniu trzeba było wielkiej odwagi i pokonania naturalnego odruchu wstydu, żeby wejść za tę kotarę, ale w ostateczności nie było innej rady. Korzystano więc z niej w kolejności w każdej chwili, niezależnie od tego, czy pociąg jechał czy stał.

Z jedzeniem na razie było różnie, w każdej rodzinie inaczej. Niektórzy mieli spore zapasy, a inni prawie nic. Jednak w biedzie ludzie chętnie pomagali sobie wzajemnie. Okazało się, że niektórym pozwolono zabrać więcej żywności. Wszystko zależało od tego, jacy ludzie znaleźli się w obstawie danej rodziny. Niektórym nawet doradzano, co mają zabrać i powiedziano dokąd będą wywiezieni na Syberię. Żywność więc była, ale nie było możliwości właściwego jej przyrządzenia. Nie było jak gotować, bo brakowało wody. Jedliśmy na razie suchy chleb, jajka surowe lub pieczone przy piecyku. Na głód nikt się dotychczas nie skarżył, ale pragnienie dokuczalo strasznie. Wreszcie odsunięto jedne drzwi i wezwano trzech mężczyzn z wiadrami po wodę. Jak wrócili to się okazało, że jeden przyniósł w wiadrach zupę, drugi kaszę a trzeci czarną kawę zbożową. Natychmiast wypito kawę. Niektórzy próbowali zupy-krupniku, a na kaszę z olejem nie było wielu chętnych. Tego rodzaju posiłki dostarczano prawie każdego dnia. Kaszą najczęściej był pęczak. Zamiast zupy często bywał "szczy", czyli kapuśniak z liści kapuścianych. Zamiast kawy zbożowej często bywał wrzątek czyli "kipiatok". Pewnego dnia dano więcej wody, to gotowaliśmy kury zarżnięte na drogę. Cztery dni jechaliśmy do granicy.



SOWIECKĄ KOLEJĄ

W piątym dniu ryknęła sowiecka maszyna... Skończyła się Polska Ziemia i skończył się tor normalnej szerokości. Piątego dnia mieliśmy więc przesiadkę przez drzwi naszego wagonu do drzwi drugiego w składzie takiego samego pociągu ustawionego vis a' vis na drugim równoległym, ale szerokim torze. Przesiadka trwała krótko. Znowu powstał powód do awantury, bo ci co jechali przedtem na dolnych pryczach uważali, że teraz należą się im prycze górne. Ci natomiast, którzy poprzednio siedzieli na pryczach górnych dowodzili, że wszystko powinno zostać bez zmian. Ostatecznie doszło do porozumienia. Rodziny ze starszymi osobami przeszli na dolne prycze, a na ich miejsce poszli na górę ci, co najbardziej o to walczyli. Moja rodzina od tej chwili ulokowała się na górnej pryczy. Radość dzieci była nieopisana, gdyż na ziemi radzieckiej zdjęto drewniane kłapy z okien i do wagonów zawitało światło dzienne. Przez te okienka mogliśmy podziwiać wielkość i różnorodność tego kraju. Przez dwadzieścia jeden dni dalszej podróży nic ważnego się nie działo.

Kilka razy dziennie wypuszczano z wagonu trzech mężczyzn z wiadrami po prowiant albo po węgiel.

Pociąg jechał przeważnie nocą. W dzień najczęściej stał na stacjach towarowych. Dwa razy opuszczaliśmy wagony co do jednej duszy i byliśmy prowadzeni kilkaset metrów do "bani" i odswalni. Były to dwa pomieszczenia /parownia i łaźnia ogólna/. W pierwszym oddawało się ubranie związane pasem lub sznurkiem. Jeden z obsługujących zabierał te węzłki od nagusów i wieszał je u sufitu na drążkach, zawiniątko przy zawiniątku, podobnie jak w kopalni. Ten, kto oddał swoje zawiniątko z ubraniami, przechodził do drugiego pomieszczenia. Było tam miejsce na 40 do 50 osób, zależnie od liczby pojemników do mycia. Były to drewniane cebrzyki z klepek drewnianych, nazywane przez miejscowych "tazami" czyli miednicami. Jedna klepka była dłuższa od innych i miała dziurę do trzymania. Cebryk taki był dość ciężki i nawet pustym nie mogło się posłużyć dziecko siedmioletnie. Wzdłuż tego pomieszczenia pod ścianami i po środku były ławy drewniane. Przy ścianach, między ławami, było kilka kranów z gorącą i zimną wodą. Każdy po nabraniu wody do cebrzyka najpierw pił ją do pełnego upojenia, bo tu było jej pod dostatkiem. Jedni pili prosto z cebrzyka, inni nabierali w złożone na kształt muszli dłonie. Po zaspokojeniu pragnienia zaczynało się mycie.

Wodę dobierało się do odpowiedniej ciepłoty, stawiało się cebrzyk na ławie i siadało przy nim. lub stawało przed cebrzykiem i myło się jak kto potrafi. Kto się namydlił podawał mydło drugiemu. W czasie kiedy się lu-

dzie myli szatnia była zamykana i wpuszczano do niej nagrzaną parę o wysokiej temperaturze, która zabijała zadomowione w ubraniach wszy, których ciągle nam przybywało.

Najpierw przychodziła do mycia grupa kobiet i one zabierały ze sobą dziewczynki i małych chłopców, Ja zaś z bratem Michałkiem byliśmy w grupie mężczyzn. Pierwszy raz w życiu byłem w takiej łaźni i pierwszy raz widziałem dorosłych mężczyzn na nagusa i w dodatku tyłu na raz. Było na co popatrzeć, więc zamiast się myć, to się gapiłem w koło. Ojciec musiał mnie popędzać. Miałem swój cebrzyk, sam się mydliłem i sam wodą chlapałem, dopiero na koniec ojciec wylał mi na głowę całą zawartość cebrzyka jaka mi została i jeszcze nalał drugi do splukania. Ojciec musiał myć również Michała, bo on sam w ogóle nie mógł sobie poradzić.

Michałek się przy tym mocno rozplakał, bo mydło było bardzo szczypiące w oczy. Płakały też inne maluchy. W sumie jednak każdy był zadowolony po tym myciu.

Po umyciu się trzeba było jeszcze trochę odczekać, bo szatnia po zakręceniu pary była zbyt nagrzana. Szybko została przewietrzona i wszyscy wchodzili po ubrania. Podłoga drewniana była jeszcze na tyle gorąca, że trzeba było przestępować z nogi na nogę. Od razu też nie można było się ubierać, bo ubranie parzyło. Przez ten czas wszyscy wyschli. Cała ta operacja mogła trwać około pół godziny. Potem przychodziła kolejna zmiana z następnymi wagonów, aż wszyscy się umyli. A przecież nie z jednego pociągu przychodzili tam ludzie. Łaźnia musiała pracować całymi dniami. Wracając do wagonu ulepiliśmy ze śniegu wielkie piguły, żeby było co pić w wagonie.

Wsiadaliśmy do wagonu, ryglowano za nami drzwi. Całymi dniami w wagonie było jak w ulu. Dzieci się biły i płakały. Kłócili się również dorośli. Dzieci chciały wysiadywać przy okienku na górnej pryczy, żeby sobie popatrzeć na świat, a tam nie było za wiele miejsca. Dorośli wytkócali się o dzieci, albo o kolejkę do gotowania. Piecyk, który był w wagonie, nie był dostosowany do gotowania na nim stawy, lecz do ogrzewania. Ten problem jednak stopniowo malał, bowiem zapasów było coraz mniej. Przez całą drogę jazdy pociągiem trwały silne mrozy, a za Uralem jeszcze silniejsze. Całe szczęście, że węgla nam nie brakowało, więc w piecyku paliło się na okrągło. Wylot rury od piecyka wmontowany był w sufit wagonu. Ponieważ blat piecyka był na tyle duży, że poza miejscem, które zajmowała wpuszczona weń rura, pozostawało trochę przestrzeni na której można było postawić garnek i przymocować go do rury drutem. Dopóki zapasy nie zostały zjedzone, kaszę przynoszoną z zaopatrzenia "kazionego", przeważnie wyrzucało się przez dziurę "kanalizacyjną". Tą drogą wyrzucano i inne odpadki. Kiedy pociąg stał na stacji w jednym miejscu

czasem cały dzień, to wszystko co wyrzucano przez dziurę natychmiast zamarzało i tworzyła się z tego piramida dochodząca nie raz do podłogi wagonu. Po odjeździe pociągu przy torze zostawały zamrożone piramidki do metra wysokie, rozstawione w takiej odległości jaka była długość wagonów. Nasz pociąg zostawił ich 64 sztuki na długości blisko kilometrowej. Piramidki takie zostawały też po innych pociągach wiozących Polaków wiezionych tędy przed nami.

Kiedy przyjeżdżały na jakąś większą stację, gdzie było kilka torów, zastawaliśmy tam przeważnie inne pociągi z Polakami, którym machaliśmy rękami, pozdrawiając ich w ten sposób. Oni robili dokładnie to samo, tak, że wszystkie okienka wagonów wypełniały machające ręce. Jeśli pociągi stały obok siebie, to można było porozmawiać. Tematem pierwszym było zawsze pytanie: skąd jesteście? W ten właśnie sposób nasi ludzie zgadali się, z pasażerami stojącego obok pociągu wiozącego kolonistów z sąsiadującą z nami wsią Szyszkowce /przez nas miejscowość ta była nazywana Dukta/. Pytają więc nasi rodzice:

- Czy są tu gdzieś Tarkowie z Dukty?

- Są! - pada odpowiedź ale kogoś jadącego o trzy wagony dalej. Wiktoria Tarko - żona Marcina Tarko - to rodzona siostra mojego ojca czyli nasza ciotka. Oni to właśnie w 1937 roku jako pierwsi wyjechali spod Krakowa na Podole, a my za nimi w rok później. Rodzice zaczęli wykrzykiwać w tamtym kierunku i po chwili z okienka machała ręką ciotka Wiktoria. Można było porozumiewać się tylko tak. Wszyscy po kolei chcieli się zobaczyć. Kiedy mnie dopuszczono do okna, widziałem przez chwilę lamentującą ciotkę. Lamentowała jakby czuła, że już stamtąd nie wróci do Polski. Została pochowana w Kazachstanie. Potem zobaczyłem chłopaków z rodziny Tarki: Staszka - lat 16, Bolka - lat 14 i Bogusia - lat 10. Ośmioletniej Romci już nie widziałem. Najdłużej widziałem Bogdana, który wciskając się między kraty, wychylił się z okienka prawie do połowy. Było to jedyne po drodze spotkanie z bliskimi. Dowiedzieliśmy się, że u nich wszystko odbyło się tak samo. Po krótkim czasie nasz pociąg ruszył i z rodziną Tarko więcej się nie widzieliśmy, bo nasze pociągi rozjechały się w różne strony. Oni znaleźli się w Kazachstanie.

Wszystkie pociągi, które na początku spotykaliśmy, wiozły deportowanych z województwa tarnopolskiego, gdzie wkroczyła Armia Czerwona. Jednego dnia Polacy zostali wywiezieni nie tylko z jednej kolonii, czy powiatu, ale z całego województwa, a może z całego Podola. Kiedy przyjeżdżaliśmy na jakąś stację gdzie nie było żadnego pociągu z Polakami, liczyliśmy piramidki z odchodów i śmieci. Widziało się je przy każdym torze, piętrzące się gęściej niż na długość wagonu, czasem jedna przy drugiej, co świadczyło, że tych pociągów było dużo. Przed nami przejeżdża-

to ich dziesiątki, a może setki i nie wiadomo, ile ich przyjedzie po naszym odjeździe. To była pierwsza wywózka, a jak się później okazało, tych wywoźek było więcej. Na te gigantyczne operacje musiano zmobilizować wielką ilość taboru kolejowego, który przewoził deportowanych przez ponad miesiąc. Słyszałem już po wojnie opinię, że Hitler wykorzystał moment i zaatakował Związek Radziecki w momencie kiedy cały jego transport był zajęty trzecim etapem akcji wywożenia Polaków na Sybir, dzięki czemu odniósł tak wielki sukces na początku wojny. Nie wiem na ile jest to prawdziwe, ale jeżeli faktycznie ostatnia wywózka miała miejsce w maju lub czerwcu 1941 roku, przypuszczenie to nie jest pozbawione prawdopodobieństwa.

Na pytanie kogo wywożono na Sybir, mogę zdać relację tylko z tego, czego byłem świadkiem, a mianowicie kto był wywieziony razem z nami w pierwszej akcji 10 lutego 1940 roku i kto znalazł się razem z nami na Syberii. Po pierwsze byli to koloniści z Podola i z całych kresów wschodnich. Mówiąc "kolonie" mam na myśli zupełnie nowe wsie, które były budowane przez właścicieli majątków na swoich gruntach. Ziemię dzielili na działki o średnim areale, budowali na nich zagrody według możliwości finansowych zamawiającego i sprzedawali je chłopom przybywającym z Polski zachodniej. Czasami, kiedy czas naglił - tak jak to miało miejsce z nami i innymi rodzinami przybyłymi do Sinkowa przed samą wojną, której ziemianie napewno się spodziewali, sprzedawali działki z budynkami nie zawsze ukończonymi, jak to było w naszym przypadku. Zresztą działka nie do końca zabudowana musiała być tańsza, więc chętnych na nią może było jeszcze więcej. Po drugie byli wywożeni Polacy zamieszkujący ziemie wschodnie od dawna, a nawet ci, którzy się tam urodzili, jeżeli się wyróżniali jako polscy aktywiści, po trzecie inteligencja i funkcjonariusze państwowi niezależnie od narodowości. Stąd na Sybirze znalazło się wiele rodzin ukraińskich, których członkowie ledwo po polsku mówili, ale pełnili funkcje państwowe, na przykład ktoś z rodziny był sołtysiem, leśniczym, gajowym czy nawet listonoszem. Na ogół byli to ludzie zamożniejsi w środowisku wiejskim. Razem z nami deportowano Polaków ze wsi i z małych miast. Być może ludzie z dużych miast byli deportowani w innym terminie, ale ten fakt jest mi mało znany. Wiadomo, że wieś czy małe miasteczko można w kilka godzin spacyfikować bez większego problemu. Sowieckie działania w tym względzie były ciche i podstępne, dlatego z miast większość ludzi łapano pojedynczo. Na przykład ktoś pewnego dnia nie wrócił do domu, co w systemie sowieckim jest zupełnie normalne, a dopiero za dwa miesiące rodzina dostaje list z pozdrowieniami. Istnieje przypuszczenie, że tylko wojna wstrzymała ten proces, bo inaczej wszyscy Polacy ze wschodniej Polski znaleźliby się w Krasnojarskim /albo

w innym/ Kraju. Być może dla wielu było to schronienie przed niemieckim okupantem. Nie mniej jednak każdego z nas spotkała wielka krzywda i o tym zapomnieć się nie da. Nikt, nawet obywatele Związku Radzieckiego, na Sybir nie wyjeżdżali dobrowolnie. Są mi znane przypadki z najnowszej historii Kraju Rad, że ludność Moskwy czy Leningradu bała się wyróżnienia po ukończeniu studiów w postaci nakazu pracy na Syberii. Myślę, że Alaska nie jest atrakcyjniejsza pod względem klimatu od Syberii, ale tam przebywają ludzie z własnego wyboru.

Nasze pociągi posuwały się na wschód i nie wiadomo było jakie który miał przeznaczenie, a miał je napewno. Jechaliśmy czasami w dzień ale przeważnie nocą. Ciekawiej było jechać we dzień. Patrzyliśmy wówczas przez zakratowane okienko i podziwiali ten "wspaniały" kraj. Rzadko gdzie widziało się życie ludzkie lub tereny zabudowane. Widzieliśmy tylko pojedyncze domy małe, drewniane i prawie bez budynków gospodarczych. Najczęściej był to domek na niewielkim kawałku ziemi ogrodzonej drewnianym płotem, przy skraju zagrody stóg siana, przy nim jedna krowina. Potem dopiero dowiedzieliśmy się na czym rzecz polega. Otóż dom nie mógł być duży, bo świadczyłoby to, że gospodarz jest bogaty, czyli kulał, a tego bał się każdy jak ognia. Mógł więc każdy postawić duży dom, stawiał jednak mały, choćby miał w bród materiału. Kiedy syn czy córka dorodził i zakładali własne rodziny, to dla nich dom mógł stanąć w przeciągu kilku dni, bo w pobliskim lesie drewna było pod dostatkiem, a czterech ścian długo się nie stawia, zwłaszcza, jeżeli do pomocy znajdzie się ojciec, brat i szwagier. Z mięsem na przyjęcie weselne było trochę gorzej, bo jeśli wesele nie było wcześniej przewidziane, to nie można było czasu na uchronienie cieliczki.

Krowa zimowała przy stogu siana, odgrzebywała śnieg ze stogu lub liżąc go, podjadała siano. Gospodyni przychodziła raz na dzień wydoić krowę, żeby ją wymię nie bolało, a ziemniaki w mundurkach lepiej z mlekiem smakowały. Obora też nie była mile widziana, bo to by zakrawało na bogactwo, a tego najbardziej należało się wystrzegać. Gospodarz, czyli właściciel krowy, oprócz takich obowiązków jak zabezpieczenie na zimę drewna opałowego, miał za zadanie nakoszenie siana dla jednej krowy, którego w okolicy nie brakowało, bo rosło ono wszędzie na niczym terenie. Ogródek koło domu był wydzielany z niczyjego pola i zgodnie z prawem nie mógł przekraczać stu arów na jedną rodzinę. Całe lato krowa mogła hulać po okolicznych łąkach i lasach, przychodząc pod dom swego gospodarza kiedy rozboleła ją nie wydojone wymię albo do wodopoju. Chętnie piła także pomyje, którymi gospodyni częstowała swoją krowkę w porze po południowej. Każda rodzina miała prawo do jednej krowy. Myślę, że ten przywilej rodziny pozostał do dziś. Często z tego powodu mat-

ki na wsi wcześniej wydawały córki za męż, żeby cieliczkę zostawić na odchowanie.

Z czasu tej podróży najbardziej pamiętam to wielkie pragnienie, co nam dokuczało najbardziej. Zawsze, gdy tylko pociąg stanął, często w szczerym polu, koło eszotonu kręcili się żołnierze z obstawy /eskorty/. Ich najczęściej prosiliśmy, żeby nam podali śniegu, bo tego tam nie brakowało. Wołaliśmy:

- *Dziadzia, daj śniegu!* - machając wiaderkiem wystawionym przez okienko. Nieraz taki żołnierz napracował się, żeby spełnić wszystkie życzenia. Ale bywało i tak, że żołnierz poczuł się zmęczony, bo był sam jeden na kilka wagonów, albo był w złym humorze, albo był większym służbistą i śniegu nie podał. Byli też tacy, co zamiast śniegu podawali "wiązanki" ruskojęzyczne. Jak się zdobyło wiaderko śniegu, to od razu wrzucało się go do garnka i wiązało na piecyku. Śnieg się topił od spodu, a z wierzchu dzieci i dorośli wciskali w miękki śnieg swoje łyżki i wyciskali wodę ze śniegu, zanim ten stopniał. Towarzyszył temu zawsze pisk i przepychanka jak prosiąt przy karmiącej maciorze, bo nie wszyscy mieścili się przy piecyku. Często zdarzały się większe i mniejsze poparzenia, albo się ktoś potknął, albo ktoś kogoś popchnął, lub pociąg szarpnął niespodziewanie. Było więc wiele nieszczęść z tego powodu a i powodów do kłótni.

I tak mijał dzień za dniem. Różnica polegała tylko na tym, że w miarę upływu czasu coraz częściej zaczęliśmy zjadać przydzielową kaszę. Zapasy żywności z Polski wyraźnie się bowiem kończyły i chociaż kaszę mało kto lubił, to jadł ją nie dla smaku a coraz częściej z głodu. Piramidki pod pociągami były coraz mniejsze. Jak już wspominałem, wagony były ogrzewane. Na zewnątrz taki wagon w silnym mrozie był niesamowicie ośnieżony i oblodzony. Tylko wewnątrz wody brakowało. Narastał brud i pojawiły się wszy. Jeśli w nocy pociąg trochę stał, to woda na okapie zamarzała i pod rynienkami tworzyły się długie sople. Każdego ranka kto pierwszy wstał, ten po głowach śpiących dostawał się do okna, sięgał ręką i urywał sople, które następnie lizało się jak lizaki czy lody na patyku.

Dalszy ciąg wspomnień przypominają słowa naszej piosenki:

Piątego marca ryknęła maszyna.

Już inny transport z nami się zaczyna, ...

KAŃSK WITA

Po 21 dniach jazdy koleją zdawało się nam, że przyszedł kres naszej podróży. Miasteczko syberyjskie, gdzie pociąg się zatrzymał na bocznicy bez peronu i rampy, nazywa się Kańsk. Podjechały sanie podobnie jak w Sinkowie, tylko konie były mniejsze. Ładowano nas w pośpiechu, bo tym

razem jazda miała być krótka. Zobaczyliśmy z dala kilka świateł elektrycznych, więc początkowo przypuszczaliśmy, że zrobią z nas mieszczuchów. Był piąty marca, a tu mróz około 35 stopni Celsjusza, sanna w mieście, szron na drzewach, zima w pełni.

Podwieziono nas do dużego budynku drewnianego, gdzie była jedna duża sala i parę bocznych pomieszczeń. Był to budynek przeznaczony na kino miejskie lub inny budynek użyteczności publicznej. W końcu sali było podjum, jakby płytka scena i ekran kinowy. Sala była wielkości dużego kina w polskim mieście powiatowym. Zwieziono tu ludzi chyba z całego pociągu. Pomieszczenie boczne i sala główna wszystkie były bez ławek, przepelnione ludźmi. Wygnańcy z bagażem różnej wielkości upychali się w każdym kącie, na całej powierzchni sal. Moja rodzina rozłożyła się na środku sali kinowej. Od podłogi wyłożonej jakąś posadzką ciągnęto zimnem. Położono na niej pierzynę, wokół poduszki, dzieci na pierzynie nogami do siebie, na wierzchu drugą pierzynę, podobnie jak na saniach w Sinkowie. Było tak ciasno, że wychodząc na stronę, nie miałem gdzie postawić stopy. Wszyscy jednak rozumieli sytuację i pozwalali stąpać wykorzystując najmniejsze szczeliny między leżącymi ciałami.

Późnym wieczorem, żeby nam było milej i by dać nam łyk kultury wyświetlono film na tym dużym ekranie. Przyznam szczerze, że był to pierwszy film jaki w życiu zobaczyłem. Oczywiście nie wiele z niego zrozumiałem i nie wiele pamiętam. Było w nim coś o rewolucji, a ja jeszcze nie wiedziałem co to rewolucja. Pamiętam tylko scenę, kiedy jakaś strudzona kobieta na jakimś pogorzeliisku, czy gruzach, podeszła z trudem, prawie na czworakach, do sterczącej rury z kranem, wspięła się po rurze, odkręciła kran i podstawiając otwarte usta pod strumień, piła wodę a potem lała ją na swoją głowę tak, że woda spływała jej na piersi po białej, potarganej bluzce. Większość utrudzonego ludu nie patrzyła na film tylko spała.

Rano roznosili jakąś strawę, a później robiono gromadne zbiórki kierując nas do odwyszalni i do łaźni. Na obiad dostaliśmy "szczci i kaszę". Ogłoszono nam, że będą nas grupami rozwozić po okolicy. Cała nasza piątka rodzinna, to jest my - Balikowie, Calikowie, Grochowsky, Grulowie i Tarkowie trzymała się razem, żeby nas nie rozłączono.

AUTEM, A POTEM SANIAMI

Udało się nam uniknąć rozłąki. Cała nasza grupa została zabrana na dwie ciężarówki ZIS-5, na skrzynie załadunkowe, bez osłony i plandeki. Zawinęliśmy się możliwie najciaśniej, żeby nie zmarznąć na kość. Zawsze nas ratowały pierzyny. Dwie pierzyny matki i jedna ciotki niemowy. Ciężarówka ruszyły w drogę. Przejechaliśmy jedną z głównych ulic przez miasto

i przez most na rzece Kan. Dalej zaczęło się bezludzie stepowe, zagajniki i lasy. Po drodze, zanim dojechalśmy do celu, minęliśmy zaledwie jedną wioskę, lub najwyżej dwie. Rozglądaliśmy się po bokach, żeby zobaczyć wilki. Straszono, że tu będzie ich dużo, ale nic z tego. Pod wieczór było widać czasem w świetle samochodu ogarki jakichś oczu przy drodze, ale mógł to być zając, lis, lub inna zwierzyzna, niekoniecznie wilk.

Po dwóch albo i trzech godzinach jazdy bardzo ślamazarnej, bo droga była nierówna, zaśnieżona i śliska, dojechalśmy do jakiejś dużej wsi. Jak się okazało z późniejszego rozeznania, był to duży kołchoz. Do tego kołchozu z Kańska jest około 60 kilometrów. Tam już było nas mniej. Był to punkt przerzutowy, dokąd przyjeżdżały transporty konne saniami, jakby kontrachenci po odbiór żywego towaru, darmowej siły roboczej, białych niewolników, którymi byli Polacy. Prawdopodobnie również inni ludzie z pociągu trafiali do takich punktów w promieniu Kańska, skąd po gorszych drogach i bezdrożach rozwożono ich saniami. Zawsze byliśmy pod opieką zmieniającej się eskorty. Do "naszego" kołchozu przywieziono niezbyt dużą grupę, którą miejscowe władze zajęły się lepiej. Dostaliśmy ciepłej strawy, kazano nam przenocować w małym i ciepłym drewnianym domu. Był to jakiś kantor lub biuro zarządu kołchozu. Na noclegu było około dziesięciu rodzin, w tym nasza grupa. Rano zdarzył się tu mały incydent. Był wśród naszych towarzyszy niedoli pewien Ukrainiec, który szukał zaczepki z naszym ojcem. Ojciec nigdy mi nie mówił o co im poszło. Widziałem tylko taki obrazek: rano przyniesiono nam strawę i chleb w bochenkach. Chleb i strawę wydawano w izbie, gdzie spały obce rodziny. Ten rosy i dobrze zbudowany Ukrainiec stał w drzwiach zaparty nogą, kroił sobie chleb scyzorykiem i jadł. Ojciec chciał z bochnem chleba przejść do drugiej izby, ale przejście zastawił mu wspomniany typ. Ojciec podszedł do niego i poprosił o pożyczenie scyzoryka do pokrajania chlebia. Na to ten zaczął ojcu wciskać w usta kawałek ukrojonego chleba ręką, w której trzymał scyzoryk i mamrotał po ukraińsku coś w tym sensie:

- Masz nażryj się ty taki owaki!

Ojciec zaciskając wargi, jedną ręką /bo w drugiej trzymał chleb/ chwycił go za gardło, ale bez efektu. Jednocześnie otworzył na moment usta, co wykorzystał Ukrainiec, wpychając ojcu do ust kęs chleba razem z palcem. Ojciec zacisnął wówczas szczękę, przegryzając palec napastnika do kości. Tamten wrzasnął, wypuścił z ręki scyzoryk i chleb, chwyciwszy za rękę zalaną krwią. Zbiegli się inni mężczyźni i zapobiegli większemu niebezpieczeństwu. Rosjanie podnieśli krzyk:

- *Paliaki dierutsa! Paliaki dierutsa!*

Po śniadaniu zaczęły podjeżdżać sanie, zabierając ludzi. Żeby nie dopuścić do nowej awantury, Rosjanie postanowili jak najszybciej wyprawić

naszą rodzinę. Zabrała się z nami cała nasza grupa. Zapakowano nas na dwie pary sanek, a resztę naszej grupy na następne osiem - i jazda! W eskorcie był jeden człowiek i czterech furmanów, w wielkich "szubach" i walonkach. Co drugi koń ciągnął sanie bez furmana. Konie syberyjskie są tak nauczone, że idą jeden za drugim bez popędzania. Widziałem w późniejszych czasach karawany transportowe składające się z dziesięciu i więcej sań, zaprzężonych w pojedynkę, gdzie było tylko dwóch furmanów: jeden na pierwszych saniach, drugi na ostatnich. Zaprzęgi takie jeździły nawet przez małe miasta, na przykład przez Kańsk. Konie były czujne, szczególnie w mieście nie odstawały od poprzedzającego wozu, aby się nie zgubić na skrzyżowaniach. W latach późniejszych, właśnie w Kańsku, widziałem jak jeden z koni jadący w "kawalkadzie" na prostej drodze, został w tyle. Po dojechaniu do krzyżówki nie mógł się zorientować, w którą stronę skrzyżowały pierwsze zaprzęgi. Wystraszył się, zaczął szybko biec i rżąc wbiegł w jakąś ulicę. Nie widząc tam pierwszych zaprzęgów, nagle zakreślił prawie w miejscu i wrócił do skrzyżowania, wpadł w inną ulicę i ta, na jego szczęście, okazała się właściwa.

W naszym pochodzie uczestniczyła większa liczba furmanów, co było uzasadnione ze względu na eskortę i ewentualną pomoc innym. Pomoc ta najczęściej ograniczała się do udzielania wskazówek, jak należy się ubierać jak należy postępować w przypadku odmrożeń. Niezależnie od tych dobrych rad wielu z nas przeziębilo się, wielu odmroziło nogi, ręce, policzki, uszy i nosy. I ja się zaziębilem, mimo, że byłem wbity pod pierzynę, a głowę miałem przykrytą chustą, której rąbek czasem uchylałem w brew zakazowi, żeby coś zobaczyć. Zdrowi często zeskakiwali z sań i dla rozgrzewki biegli za saniami, zatrzepując ręce o barki.

Jechaliśmy całymi dniami od świtu do nocy przez trzy dni. Rzadko mijaliśmy jakąś osadę ludzką. Droga była tak wymierzona, żeby na wieczór dotrzeć do jakiejś osady. Tam odpoczywaliśmy w ogrzanych chatkach i dostawaliśmy podłe jedzenie. Zmieniano zaprzęgi i część eskorty, a rano następnego dnia znowu w podróż. Ostatni odcinek, który mieliśmy przebyć, był tak długi, że zbudzono nas raniutko, żeby późnym wieczorem dojechać na miejsce przeznaczenia oddalone o ponad 100 kilometrów.

Przez jakie tereny jechaliśmy? Lasy, stopy i koryta zamrożonych rzek. Ze względu na grubą warstwę śniegu trudno się było zorientować, czy jedziemy traktem czy przez śnieg. Jeśli jechaliśmy po równym terenie otoczonym z obu stron wzgórzami, to najczęściej było to koryto rzeki. Ta droga była najbezpieczniejsza, bo nie było zasp i przeszkód pod śniegiem. Grubość lodu na tych rzekach sięga dwóch metrów, lód był tak mocny, że nie załamałby się nawet pod ciężarem czołgu. Rzeki syberyjskie były najważniejszymi traktami zarówno w lecie jak i w zimie. Latem jest to do-